



Pokochaj siebie!
Łatwo powiedzieć...
Jemu się udało!

*Lata
chude,
lata
tłuste*

GOK
MOJA AUTOBIOGRAFIA
WAN

PROLOG

Jedzenie

Zawsze kochałem jeść. Nie mogło być inaczej, skoro jedzenie od początku było w centrum mojego świata. Żartujemy z mamą, że wyskoczyłem z niej z pałeczkami w dłoni i gdyby powitała mnie matczynym uśmiechem, zamiast podawać mi od razu miskę makaronu, to może i lubiłbym sport, a nie spring rollsy!

Dla mojej rodziny jedzenie jest wszystkim. Było nam nie tylko niezbędne do życia tak jak innym, ale i potrzebne, żeby przetrwać finansowo. Stanowiło źródło naszego utrzymania. Przez całe moje życie rodzice prowadzili takie czy inne restauracje, więc nigdy nie brakowało nam jedzenia i wszyscy bardzo je lubiliśmy. Hołowaliśmy zasadzie: jeśli sprawi ci to przyjemność, zjedz to. Nieustannie karmiliśmy gości, ale przestrzegaliśmy też własnych pór posiłków i zwyczaju wspólnego siadania do stołu. Nadal tak jest.

Jak się spotykamy, to już po pięciu minutach mówimy o jedzeniu albo zaczynamy jeść. Odwiedziny w domu, w Leicesterze, nie byłyby udane bez dim sum w restauracji cioci albo domowego posiłku przygotowanego pieczołowicie przez mamę i brata. Kiedy siadamy w jakimś lokalu na mieście całą rodziną, każdy zajmuje zwyczajowe pozycje. Tata siada u szczytu stołu obok mamy. Ja przy siostrze i dzieciach mojego brata, a brat i jego żona na pozostałych miejscach. Zamówienie zawsze składa tata. Podchodzi kelner z dzbankami gorącej herbaty ulung, nalewa, a tata pyta nas, na co mamy ochotę. Odpowiedź jest zawsze ta sama:

— Cokolwiek, tato. Sam wybierz.

Po tym stwierdzeniu odkładamy z trzaskiem jadłospisy z długimi, spisanyymi po chińsku listami dań. Ponieważ żadne z nas, poza ojcem, nie zna chińskiego, zdarzają się niespodzianki. Nigdy nie wiemy, co zostało zamówione, ale na ogół potrafimy zgadnąć, co się pojawi. Kiedy zaczynają nadciągać dania, gratulujemy ojcu wyboru.

— Mmm, faszerowana papryka i czarna fasola... pyszności.

Albo:

— Nie jadłem tego od wieków, czy to z wieprzowiną?

Albo:

— Fasolka w sosie... mmm... Ale gdzie jej do twojej, tato!

Potem kosztujemy wszystkich potraw, zachwycając się, że ryba taka świeża albo makaron taki chrupki. Wszystkie chińskie restauracje podają jedzenie na środek stołu, więc dzielimy się

ulubionymi kąskami. Mama uwielbia chińskie grzyby, więc jak tylko zje jeden, to na pewno dostanie drugi od kogoś z nas. Lisa, moja bratowa, lubi biały ryż w otoczce hau gau, ale nie cierpi nadzienia z krewetek. Brat sprawnie rozbiera całość, zręcznie wyjmuje nadzienie i zjada je, żeby podać żonie chrupkie skorupki — mistrzostwo w sztuce walki na pałeczki!

Zawsze jest duża micha gotowanego ryżu. Tradycja nakazuje, aby podawała go innym najmłodsza zdolna do tego osoba przy stole. Kiedy byłem najmłodszy w rodzinie, to mnie — zgodnie z sięgającym tysięcy lat zwyczajem — przypadał ten obowiązek. Pamiętam radość z wypełniania tego, co do mnie należy. Czułem się ważny, pełniąc tę zaszczytną powinność. I uwielbiałem to. Do tej pory, kiedy podaję ryż, zdarzają mi się chwile absolutnego szczęścia, bo dla mnie ryż to symbol stabilizacji, jedności, bycia razem. Jedzenie to miłość i rodzina.



Ale gdzieś tam po drodze jedzenie zaczęło znaczyć dla mnie zbyt wiele. Stało się moim najlepszym przyjacielem. Dawało mi szczęście, ciepło, poczucie bezpieczeństwa i pociechę. Stało się moim nałogiem, tajemnicą, wszystkim. Całe dni myślałem o jedzeniu i zdobywaniu go, bo tylko wtedy potrafiłem czuć się szczęśliwy. Jadłem za dużo, nie umiałem się powstrzymać, po części dlatego, że jadłem nie to co trzeba (stale miałem wokół siebie gotowe dania w zachodnim stylu), i nie o tej porze co trzeba (w mojej rodzinie siadanie do stołu i zabieranie się do

solidnego posiłku w środku nocy, kiedy rodzice wracali z restauracji, było całkiem normalne), a po części dlatego, że za bardzo to pokochałem. Jedzenie miało straszne skutki dla mojego ciała, puchłem w oczach, z pulchnego dziecka stałem się chorobliwie otyłym podrostkiem, który czuł się zawstydzony, bezwartościowy i odrzucony.

Jedzenie mi to zrobiło, ale jednocześnie stało się moją jedyną ucieczką od świata, który patrzył na mnie i śmiał się, drwił ze mnie, dręczył i mi zagrażał. Jedzenie było teraz moim wrogiem. Musiałem stoczyć z nim walkę... i ten pojedynek omal mnie nie zabił. Myślę, że w jedzeniu tkwi sekret całego mojego życia.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdzie się to wszystko zaczęło

Nie mam pojęcia, jak to się stało, że utyłem. Oczywiście wiem, jak utyłem — bo jeśli trzylatek je tyle co dorosły żołnierz, to utyje — ale po prostu nie pamiętam, jak przeistoczyłem się z chudego chłopczyka w cyncatego grubasa. Mam bardzo mało zdjęć z dzieciństwa (tak mało, że przez wiele lat siostra droczyła się ze mną i mówiła, że jestem adoptowany), no i w efekcie nie wiem dokładnie, kiedy to się stało.

Ostatni dowód, że byłem szczupły, to zdjęcie zrobione, zanim poszedłem do szkoły, więc mam na nim jakieś cztery lata. Stoję przed restauracją dziadka o nazwie Hung Lau — pierwszym chińskim lokalem w Leicesterze. Dziadek otworzył ją pod koniec lat sześćdziesiątych i to tam zaczął praktykować tata. Pozuję do fotografii w wielkich okularach przeciwsłonecznych taty, w

szortach i koszulce z obrazkiem z *Księgi dżungli* (już wtedy wyraźnie nie czułem się skępowany przed obiektywem i widać, że jest we mnie coś dziewczęcego). W owym czasie mój brat i moja siostra byli pulchni. Ja najwyraźniej nie chciałem zostać w tyle.

Moja siostra Oilen jest z nas najstarsza, urodziła się cztery lata przede mną. Jest wrażliwa i bardzo mądra — mama do dziś opowiada, jak to w wieku siedmiu lat napisała książkę, i do tej pory nie mogę wyjść z podziwu — siostra zawsze mi imponowała. No i mam jeszcze starszego brata zawadiakę. Kwok-Lyn jest ode mnie starszy tylko o piętnaście miesięcy, więc dorastaliśmy bardziej jak bliźnięta — mama ubierała nas jednakowo, mieliśmy podobne nawyki i chichotaliśmy z tych samych rzeczy. Pojawiłem się na scenie jako ostatni, przyszedłem na świat w roku 1974 i zostałem ochrzczony imieniem Kowkhyn, zdrobniale Gok. Byłem bardzo małym dzieckiem. Według rodzinnej legendy po urodzeniu ważyłem tyle co torebka cukru i kiedy przywieźli mnie do domu, byłem mniejszy niż mój pierwszy pluszowy miś. Nawet najbardziej maciupkie pieluchy były dla mnie za duże, więc mama używała zamiast nich papierowych chusteczek. Wszyscy w rodzinie nazywali mnie „Mały” i choć byłem nie mniej rezolutny od nich, to przezwisko szybko do mnie przyłgnęło.

Jako rodzeństwo byliśmy do siebie podobni, a jednak i bardzo różni. Oilen była pewna siebie i bardzo zdolna, Kwok-Lyn silny i stanowczy, choć łagodny. Ja nie byłem ani

bystry, ani silny, ale potrafiłem wszystkich rozśmieszyć. Łatwo nawiązywałem kontakt z ludźmi i lubiłem czułości. Uwielbiałem przytulać ludzi i bardzo się do nich przywiązywałem, zwłaszcza do żeńskich przedstawicielek rodziny, do których garnąłem się, kiedy nas odwiedzały. Swojej cici Dawn mówiłem, jaka jest piękna, i to było szczere. Zawsze, od najmłodszych lat, umiałem dostrzec w kobietach piękno.

Różnice różnicami, ale cała trójka była pracowita. Tę cechę wpoił nam ojciec, John Tung Shing Wan. Urodził się w wiosce na północy Hongkongu — w miejscu, gdzie mamy łowią rankiem ryby na lunch. Do Wielkiej Brytanii wyemigrował z rodzicami. W latach sześćdziesiątych przybył do Leicesteru. Wkrótce dziadek otworzył tu restaurację, w której ojciec uczył się fachu.

Pewnego razu tata wybrał się do Southampton. Tam poznał moją mamę Myrę, niewinną córkę samotnej sprzątaczkii. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Mama mówi, że kiedy tylko się spotkali, od razu wiedziała, że to ten jedyny, ale związek nie był dla nich łatwy. W latach sześćdziesiątych małżeństwa mieszane właściwie nie istniały. Z tego powodu zetknęli się z mnóstwem uprzedzeń, doświadczyli ostracyzmu. Ale kochali się, zostali razem i całe życie poświęcili stworzonej przez siebie rodzinie. Ich wzajemna miłość jest tak wielka, że czasem myślę, czy w ogóle na świecie mogła być jakaś miłość przed nimi. Uważam mamę za jedną z najbardziej spełnionych kobiet na świecie, bo osiągnęła to, czego najbardziej pragnęła

— znalazła mężczyznę, którego kocha, i ma rodzinę, którą ubóstwia i którą będzie się opiekować do końca swoich dni.

Poza innymi przeciwnościami losu moi rodzice nie mieli pieniędzy. Utrzymywali się z niewielkiej pensji wypracowywanej przez ojca w rodzinnej restauracji. Kiedy się urodziłem, mieszkaliśmy w przyczepie kempingowej w parku — jestem prawdziwym parkowym lumpem. Potem, kiedy nam się polepszyło, przeprowadziliśmy się do Beaumont Leys, nowego, najnowocześniejszego osiedla komunalnego w Leicesterze, które tworzyły rzędy zgrabnych domków z czerwonej cegły, z białymi okiennicami i porządnie ogrodzonymi sztachetami ogródkami z tyłu. Było tak, jakbyśmy przybyli do swojej krainy Oz (tyle że nasza droga do celu nie była wybrukowana żółtą kostką, ale krewetkowymi chipsami). Byliśmy tam szczęśliwi, a w moich najwcześniejszych wspomnieniach zapisały się zabawy w ogrodzie w letnim słońcu z mamą. W dzieciństwie zaznałem wiele miłości, rozpieszczany przez rodziców czułem się bezpiecznie, uwielbiałem brata i siostrę.

Kiedy Kwok-Lyn poszedł do szkoły, tęskniłem za nim, bo do tej pory stale się razem bawiliśmy, ale przyjemnie było stać się pępkiem świata w domu, kiedy starsze dzieci szły na lekcje. Każdego ranka mama, ze mną w wózku, odprowadzała do szkoły mojego brata i moją siostrę. Mijaliśmy dzielnicę, w której mieszkaliśmy, i pięliśmy się na wzgórze, aż pod bramy szkoły. Kiedy tam docieraliśmy, mama mówiła: „Pomachaj i powiedz »do zobaczenia«”. Teraz zdaję sobie sprawę, że w ten sposób

chciała mi dać do zrozumienia, że oni nie opuszczają nas na zawsze — po prostu dorastają. Oilen zawsze chętnie szła do szkoły — była bystra i lubiła się uczyć — a mój wspaniały brat uśmiechał się tylko zawadiacko i pędził do klasy do kolegów.

Kiedy ruszaliśmy z powrotem, odwracałem się w wózku i pytałem: „Mamo, możemy pójść kupić coś słodkiego? Przrzekam, że nie powiem nic Kwok-Lynowi ani Oilen”. Mama najczęściej ulegała moim prośbom o cukierkowe szczęście, bo lubiła mnie trochę rozpuszczać. Zwykle wybierałem mieszankę, ponieważ wydawało mi się, że dostaję za wydane pieniądze trochę więcej. Od najmłodszych lat w jedzeniu chodziło mi o ilość, nie jakość. Kupowałem dwadzieścia gumowatych misiów po pół pensa, w sumie za dziesięć pensów — no i niech jakiś supermarket pobije taką ofertę! — do tej pory czuję te kwaskowate owocowe smaki i kawałki galaretki przylepiające się do zębów. Kto mógł wtedy przypuszczać, że jestem żelkowym ćpunem?

Dzisiaj, kiedy trudno wypatrzeć mnie na planie *Jak dobrze wyglądać nago*, prawie zawsze znajdzie się mnie skulonego gdzieś w kącie, plotkującego przez iPhone i wżerającego się w paczkę żelków! Uwielbiałem słodczyce, a moja kochająca matka chciała, żebym był szczęśliwy, szybko więc przyzwyczaiałem się, że mogę dostać tyle smakołyków, ile tylko zapragnę, a pragnąłem dużo. Tak zaczął się mój trening, jak (nie) jeść.



Kiedy miałem rok, tata odszedł z restauracji swego ojca i otworzył własną — Bamboo House. To było w połowie lat siedemdziesiątych i Bamboo należała do bardzo nielicznych jeszcze chińskich knajpek w Leicesterze. Miała fantastyczną lokalizację, w samym centrum, i każdy, kto liczył się w mieście, musiał słyszeć o ojcu, Bamboo, miłej atmosferze w tym lokaliku i wspaniałym jedzeniu. Bamboo powstała w samą porę, gotowa na boom ekonomiczny w latach osiemdziesiątych. Ojciec mógł nacieszyć się tym, że ludzie dzięki dobrej koniunkturze stali się bardziej rozrzutni.

Bamboo House przyciągała bardzo różną klientelę, od biznesmenów po piłkarzy i wszystko, co pomiędzy. Restaurację upodobał sobie też aktorzy z Haymarket Theatre i tata pamięta wieczorne popijawy z takimi sławami, jak Rod Hull i Jim Davidson (legenda rodzinna głosi, że ojciec odgrywał rolę terapeuty i powiernika Jima, kiedy ten przechodził jeden z kryzysów małżeńskich).

Tata prowadził interes z powodzeniem przez dziesięć lat i spędzał mnóstwo czasu w Bamboo. Tak naprawdę lepiej pamiętam restaurację niż nasz dom w Beaumont Leys. Kiedy byliśmy jeszcze bardzo mali, tata często zabierał wieczorem mnie i brata do pracy. Ubieraliśmy się w maleńkie smokingi i muszki, a on oprowadzał nas dumnie po restauracji niby kucyki na pokaz, pięknie przyczesane, strzelające oczami, zachwycone tym, że są w centrum uwagi. Kobiety w restauracji zawsze się nade mną rozczulały, mówiły, że jestem taki milutki, i pozwalały

mi wdrapywać się im na kolana i przytulać się do nich, co uwielbiałem.

Kiedy zacząłem chodzić do szkoły, wakacje spędzałem w piwnicy pod restauracją, śpiewając z siostrą, bratem i Louise, córką przyjaciół rodziców, piosenki Abby. Udawaliśmy, że jesteśmy słynnym zespołem popowym. Do tej pory mam żal, że przydzielono mi rolę Björna, najmniej charyzmatycznej postaci z tej czwórki. Tańczyliśmy w piwnicy, która służyła jako magazyn dodatkowych stolików i krzeseł, a Oilen układała choreografię, jakbyśmy byli prawdziwym zespołem coverowym. Używając starych butelek po coli jako mikrofonów, śpiewaliśmy z playbacku piosenki i naśladowaliśmy ulubione numery, aż opanowaliśmy je do perfekcji i mogliśmy je odgrywać z całą pasją.

Na górze, w restauracji, widywałem, jak tata wita gości i zaprasza ich do środka. Był fantastycznym gospodarzem — znał ulubione dania klientów, śmiał się z ich żartów i pytał, co u nich słychać. Pamiętał najdrobniejsze szczegóły dotyczące ich rodzin, zdrowia i pracy. Goście uwielbiali go za to i wracali do jego lokalu, za każdym razem serdecznie witani i podejmowani przepyszny jedzeniem. Lubili swobodną atmosferę w Bamboo. Dlatego chciałem być taki jak tata. Świetnie czułem się we własnej skórze i zawsze się sprawdzał jak ulubione danie. Był i nadal jest dla mnie wzorem.

Pod koniec 1979 roku interes w Bamboo House szedł kwitnąco i naszej rodzinie dobrze się powodziło. Tata jeździł

ogromnym jaguarem, a mama miała w szafie fantastyczne kreacje, które wkładała wieczorem do pracy. Nadal mieszkaliśmy w tej samej dzielnicy, ale ona bardzo się zmieniła. Kiedyś było tu czysto i ładnie jak w pudełeczku. Teraz wszystko się rozrastało, sięgało coraz dalej od centrum handlowego Beaumont leżącego w sercu tej części miasta. I w miarę ekspansji nasze osiedle stawało się jednym z najbardziej niebezpiecznych w Leicesterze — z mnóstwem problemów społecznych, bezrobociem (mimo że w okolicy były zakłady przemysłowe) i przestępczością. Ale byłem za mały, żeby dostrzec pogłębiającą się biedę i beznadzieję. Wydawało mi się, że możemy żyć beztrosko w naszym przytulnym kokonie nasyconym aromatem nieskończonej, wysmażonej na głębokim tłuszczu miłości.

Skoro restauracja cieszyła się takim powodzeniem, tata postanowił rozszerzyć działalność i udostępnić naszą salę prób gościom (zdrajca). Choć interes szedł dobrze, zdał sobie sprawę, że powinien zainwestować więcej gotówki, niż jest w stanie, i przyjął jednego ze swoich przyjaciół na wspólnika. Niestety, plan nie do końca wypalił i niedługo potem tata musiał sprzedać swoją połowę restauracji temu człowiekowi. I to był dla nas koniec Bamboo House.

Stek o drugiej w nocy

Składniki

ładny kawałek wołowiny T-bone

słodka cebula

pieczarki

biały długoziarnisty ryż

olej roślinny

koniak Remy Martin

sól i biały pieprz

Sposób przygotowania

Przeptucz ryż trzykrotnie zimną wodą, żeby oczyścić go z mączki, potem wsyp do kociołka do gotowania ryżu i gotuj (około 20 minut). Wlej 4 łyżki oleju do mocno rozgrzanego woka i pokręć nim, aby rozprowadzić olej po całej powierzchni. Kiedy zaczniesz skwierczeć, dodaj posiekaną cebulę, grzyby i szczyptę soli z pieprzem. Smaż do uzyskania złocistego koloru. Potem przełóż cebulę i pieczarki do naczynia i przykryj, żeby nie wystygły.

Wlej na wok kolejne 4 łyżki oleju i podgrzej. Połóż wołowinę i podpiekaj z jednej strony 3 minuty, a z drugiej 2, dopraw solą i pieprzem do smaku. Kiedy stek jest niemal gotowy, ostrożnie chlupnij odrobinę koniaku

Remy Martin do woka i szybko rozprowadź z triumfalnym uśmiechem.

Weź sobie solidną porcję puchatego ryżu na duży talerz z lat osiemdziesiątych, na brzegu ułóż podsmażoną cebulę i pieczarki. Na środku – stek. Polej stek i ryż sosem, który powstał z oleju i alkoholu. Serwuj z mażnięciem angielskiej musztardy i jedz o drugiej w nocy, kiedy mama i tata wracają z restauracji.

Fantastyczne!

ROZDZIAŁ DRUGI

Panda

Utrata Bamboo House była dla taty ciosem, ale postanowił znów spróbować i zaczął rozglądać się za odpowiednim miejscem na restaurację. W roku 1984 wpadł mu w oko stary dwupiętrowy dom na obrzeżach centrum Leicesteru, przy Fosse Road North. Choć pierwotnie w budynku mieściły się biura, tata stwierdził, że na górze da się urządzić wygodne mieszkanie dla nas wszystkich, a na dole lokal. Ambitnie uznał, że to będzie dobra inwestycja. Restauracja miała się nazywać Panda. Przesądni krewni taty ostrzegali, że to może przynieść pecha, bo pandy to ginący gatunek i lokal na pewno w ciągu kilku tygodni zrobi klapę. Tata nie dał za wygraną. Panda to odpowiednia nazwa, no i powstała Panda.

Miałem jedenaście lat, kiedy się przeprowadziliśmy na Fosse Road North. Bardzo się cieszyłem, że będę mieszkał nad

restauracją. Wydawało się to takie eleganckie i nowoczesne, a także oznaczało, że będziemy więcej czasu spędzać z mamą i tatą. Jak to bywa w każdym biznesie, szczególnie gastronomicznym, sukces jest okupiony wielkim wysiłkiem, a z powodu fatalnych godzin pracy mama i tata rzadko bywali w domu. Moim rodzicom niełatwo było godzić prowadzenie popularnej restauracji z wychowywaniem trójki małych dzieci. Nie było dnia, żebyśmy ich nie widywali, ale spędzaliśmy ze sobą niezbyt dużo czasu. Mama zawsze rano odprowadzała nas do szkoły i czekała w domu, kiedy wracaliśmy o wpół do czwartej po południu. Tata pojawiał się, kiedy tylko mógł, starając się sprostać wymogom życia rodzinnego i prowadzenia restauracji.

Niedziele były dla nas świętem. Tylko w te dni rodzice zamykali lokal i planowaliśmy wszyscy razem coś miłego. Na przykład szliśmy popływać albo do kina. Głównym punktem programu było wspólne jedzenie. Zaczynaliśmy od śniadania, a potem zabieraliśmy sporą wałówkę na piknik albo szliśmy gdzieś do restauracji. Zawsze było mnóstwo jedzenia i śmiechu w tym dniu, w którym tata starał się nadrobić cały tydzień.

Wkrótce zaczął się remont lokalu na nową restaurację i do dziś zapach gipsu i farby przypomina mi tamten dom. Kiedy wspominam wystrój Pandy, stwierdzam, że tata był całkiem na czasie jak na tamte lata. Ściany pokryto mokrym gipsem i zostawiono, żeby wysechł bez gładzenia, z nierównościami. Na podłodze ciemnowiśniowa wykładzina z mosiężnymi

wykończeniami przy progach. Elementy drewniane pomalowano na ciemny brąz. A pod sufitem powieszono elektryczne trzyskrzydłowe wiatraki. Obrusy były kremowe i w brązach. A każde nakrycie miało podstawkę na pałeczki, co w owych czasach było nowością. W sali dla gości mieściło się tylko osiem stołów, co sprzyjało rodzinnej, przytulnej atmosferze; klient mógł się tu spodziewać serdecznego przyjęcia.

Dość duży, żeby rozumieć, jakie wyzwanie podejmuje tata, byłem bardzo podekscytowany. To było wielkie ryzyko, bo w ten interes zainwestował wszystkie oszczędności, ale chciał zbudować nowe życie dla swojej rodziny, a to jest warte ryzyka. Był dumnym, pracowitym człowiekiem, który wierzy, że może coś osiągnąć. Wyraźnie widzę w sobie cechy, które musiałem po nim odziedziczyć — determinację, chęć działania, obsesyjne dążenie do celu, strach przed porażką i potrzebę bycia najlepszym. Dziękuję, tato!



Panda miała być restauracją, jakiej w Leicesterze jeszcze nie widziano. Od czasu, kiedy dziadek zakładał tu swój lokal, powstało sporo chińskich knajpek i barów z jedzeniem na wynos, konkurencja była więc duża, ale tata wyrobił już sobie markę wśród tamtejszych mieszkańców i przedsiębiorców jako szanowany restaurator. Teraz tworzył nową jakość jedzenia na mieście. Nie trzeba już było wybierać pomiędzy typowym chińskim menu z różnymi rodzajami makaronu a stekiem z

frytkami. Dzięki Johnowi Wanowi goście mogli wedle życzenia zagłębić się w cudowny świat chińskiej kuchni.

Tata wprowadził bardziej wykwintne menu niż w Bamboo House i nagle chińskie jedzenie, dotąd nieznane, stało się w Leicesterze dostępne — wodorosty, kung pao, zupa z płetwy rekina... to wszystko było nowe, fascynujące i ludzie chcieli tego spróbować. Najwyraźniej Pandzie nie groziła plajta. Kiedy restauracja została otwarta, szybko odniosła niebywały sukces.

Z okazji otwarcia lokalu tata wydał przyjęcie, na które zaprosił wiernych gości Bamboo House. Niektórzy stali się naszymi przyjaciółmi. Byłem na tej imprezie i to tam po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, jak bardzo przez ostatnich parę lat zmieniłem się fizycznie. Dotąd pamiętam, jak tego wieczoru wyglądała moja siostra. Miała ładnie ostrzyżone włosy z grzywką, prostą sukienkę w czarno-czerwone azteckie wzory, płaskie pantofelki ze zwężonym noskiem i plastikowy czarno-czerwony naszyjnik z zachodzących na siebie ośmiokątów, które układały się półkole wokół jej szyi. Robiła wrażenie dorosłej. Była piękna, pewna siebie.

Dla kontrastu ja nie byłem już uroczym cherubinkiem, z którym mój tata paradował po restauracji i który gramolił się na kolana gości. Urosłem i przybrałem na wadze, stałem się otępiałym dwunastolatkiem u progu dojrzewania. W pyzatej twarzy prawie nie było widać mi oczu. Miałem podstrzyżone na okrągło włosy, choć byłem już trochę za duży na fryzurę na grzybkę. W tłustych paluchach robiły się dołeczki, nogi nabrały masy,

ale nie jak u sportowca — przypominały bardziej dwa grube wałki kebabu. Pojawiło mi się brzuszysko, wylewające się znad paska spodni. Górna część tułowia też się rozrosła, ale nie jak u umięśnionego wojownika, tylko nabrała krągłości, z zaczątkami tłustych piersi. Skóra napięła się mocno pod naporem powiększającej się masy, tak jakby ciała przybywało szybciej, niż ona dawała radę rosnać. Tego dnia, na przyjęciu, dotarło do mnie, że jestem grubszy od brata i siostry.

W naszej rodzinie nikt nie wyglądał na niedożywionego, ale ja byłem najmłodszy i do tej pory najdrobniejszy. Dlatego nowe odkrycie tak mną wstrząsnęło. Oni byli ode mnie starsi, więc wydawało mi się, że powinni dalej przybierać na wadze, no, może choć po sześć kilo rocznie jak ja — a tu nagle ich wyprzedziłem. Byłem teraz najgrubszy z rodziny grubasów Wanów.

Tego dnia zdałem też sobie sprawę, że Oilen już nie jest tęga. Straciła dziecięcą pulchność i wyszczuplała. Wyrosła z niej piękna panna. Tak jakby tamtego dnia przeistoczyła się z dziewczynki w kobietę. Uosabiała wszystko, czym chciałem być. Ale nie byłem taki mądry i dorosły jak Oilen, tylko gruby, nieśmiały i zażenowany. Po raz pierwszy w życiu wstydziłem się swojego wyglądu.



Kiedy mama wyszła za tatę, od razu chętnie przejęła wartości kultury, z jakiej wyrastał. Choć urządził sobie życie na

Zachodzie, kultywował wiele chińskich tradycji, zwyczajów i przesądów. W ich duchu zostaliśmy wychowani. Nasz dom zdobiły chińskie symbole. Naprzeciw okien wisały lustra, paliliśmy kadzidełka przy drzwiach, co było dość osobliwe jak na Leicester w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych. Za tatą przyjechali tu z Hongkongu jego bracia; cała rodzina osiadła w Leicesterze i założyła restauracje i knajpki z jedzeniem na wynos. Spotykaliśmy się z chińskimi krewnymi podczas świąt i rodzinnych uroczystości, takich jak urodziny i przyjęcia z okazji ukończenia miesiąca życia (chińskie dzieci są trzymane do tego momentu w domu). Mama upierała się, że musimy poznać wszystkie chińskie tradycje i przestrzegać chińskich obyczajów, poczynając od chińskiego Nowego Roku, a kończąc na paleniu symbolicznych banknotów dla przodków i jedzeniu prosiaczka. Nadal to robimy i teraz to uwielbiam — smakuje mi moje chińskie dziedzictwo.

Tata chciał, żebyśmy poznali też chiński, ale nie miał kiedy nas uczyć. Tak naprawdę praktyczniej było, żeby to on nauczył się angielskiego, bo w domu rozmawialiśmy w tym języku. Ale kiedy byliśmy mali, w sobotnie poranki chodziliśmy do chińskiej szkoły, tyle że ja tam tylko siedziałem pod ławką i zaglądałem dziewczynkom pod spódniczki (wiem, to dziwne, prawda?). Ogólnie byłem nieznośny i trudno było sobie ze mną poradzić. Chodziliśmy tam zresztą tylko dlatego, że przekupywano nas słodyczami i chrupkami, które dostawaliśmy na drogę powrotną.

To chińska kultura taty podkreślała znaczenie jedzenia. W

niej nie jest możliwe przekarmienie kogokolwiek. Im więcej daje się komuś jeść, tym bardziej okazuje się mu miłość, więc stale zachęcano nas do jedzenia, bez umiaru. Im robiliśmy się grubszy, tym bardziej czuliśmy się kochani.



Pomagałem w Pandzie od czasu jej otwarcia i teraz wiem, że to tam nauczyłem się, jakie to ważne, by inni czuli się dobrze, by czuli się mile widziani i dowartościowani. To tam zdałem sobie sprawę, jak istotne jest zrozumienie drugiego człowieka i zatroszczenie się o niego. Każdym trzeba się odpowiednio zająć. Te umiejętności doskonaliłem każdego wieczoru, tydzień po tygodniu, rok po roku w Pandzie.

Praca w restauracji była fajna. Dostawałem symboliczną zapłatę i lubiłem być w tym całym rozgardiaszu i krzątać się wśród gości. W weekendy obsługę stanowiły zwykle przyjaciółki mojej siostry, które chciały sobie dorobić do kieszonkowego. Nie było czasu na samotność. Wielu stałych bywalców już mnie znało, witali mnie z otwartymi ramionami i z uśmiechem na twarzy. Dzięki temu czułem się ważny i byłem szczęśliwy.

Jednym z pierwszych powierzonych mi zadań była praca w szatni. Witalem przychodzących gości, odbierałem od nich płaszcze i dawałem im w zamian numerki. Odnaczałem ich nazwiska w notesie i prowadziłem do środka. Tam zaczynały się czary-mary mamy i taty. Mama, ze swoją trwałą z lat osiemdziesiątych, była tą nieśmiałą, ale to świetnie się

sprawdzało w ich dobrze przeciwczonym duecie. Tata był showmanem. Znał imiona gości i witał ich tu jak u siebie w domu. Kiedy usiedli, zaczynał swój występ, uśmiechał się, klaskał w dłonie i mówił: „Pozwólcie, że was nakarmię!”. Stali bywalcy wiedzieli już, co będzie dalej, nowi goście byli zaintrygowani i zachwyceni, kiedy czytał im menu, komponując przepyszna i przebogata w smaki ucztę.

Kiedy posiłek był zamówiony, przychodziła kolej na mnie, abym odegrał swoją rolę w rodzinnym cyrku. Rzucałem się od swego stanowiska przy wejściu, uzbrojony w mały notes z kalką, i przyjmowałem zamówienia na napitki. Jak wiecie, to bardzo ważne zadanie! Traktowałem je szalenie poważnie i często polecałem wino: „Próbowali państwo domowego białego? Jest wspaniałe do kurczaka, którego zasugerował tata. A może woła państwo czerwone? Podobno côtes du rhône jest bardzo dobre”.

Aż się wzdrygam, kiedy teraz o tym myślę, bo przecież nie miałem więcej niż dwanaście lat, kiedy tak doradzałem gościom, które wino mają pić. Najwyraźniej nie miałem pojęcia, o czym mówię, ale praca w restauracji dodawała mi odwagi, żeby być godnym synem mojego ojca. Goście przez grzeczność szli zwykle za moimi podpowiedziami i wkrótce wykombinowałem, że to pewny sposób na sprzedanie najdroższych gatunków win.

Szkoliłem się, podpatrując nie tylko rodziców, ale i siostrę. Oilen była kelnerką w naszej restauracji od jej otwarcia. Świetnie radziła sobie z klientami, bo znała tę grę — kiedy mówić, kiedy podać i kiedy szybko posprzątać ze stołu. Goście

ją lubili i ona umiała z nimi rozmawiać. Nie bała się wdawać w pogawędki, ale ja nie miałem takiej pewności siebie i mogłem polegać tylko na swoim uśmiechu, żeby zjednać sobie sympatię.

Kwok-Lyn nie chciał pracować po stronie jadalnej, więc pomagał w kuchni i zmywał naczynia. W białym fartuchu i dresie ciągnął wielkie kontenery ze stali nierdzewnej pełne brudnych naczyń. Od parującej gorącej wody pot zalewał mu czoło, ale nigdy nie narzekał.

Tak to wyglądało. Cała rodzina w komplecie. Każde z nas odgrywało wyznaczoną sobie rolę.

„Przybywajcie, przybywajcie! Oto jedyny w swoim rodzaju cyrk rodziny Wanów!”